Rozmaitości

Dnia 16. Maja **Ner. 20.** Roku 1840.

OKRĘT ZABEZPIECZONY.

Prawdziwe zdarzenie.

Przeszłego lata bawiłem w Baltimore, z kąd mię bardzo ważna i pilna sprawa niespodzianie do St. Thomas powołała. Szukałem przeto takiego okrętu, któryby w kierunku do tegoż stanowiska odpłynąć zamierzał. Na kotwicy nie stał jak tylko jeden statek gotów do rozwinięcia żagli; jego wewnętrzne urządzenie było wcale niewygodne, a kapitan jego słynął z ponurego i nieznośnego charakteru. Jednakże znaglony potrzebą, nie mając czasu do stracenia, postanowiłem na tym statku puścić się w podróż. Kazałem zanieść na pokład mój pakunek, i prosiłem kapitana, aby mnie uwiadomił, skoro zamyśli rozwinąć żagle.

Młody człowiek mający lat dwadzieścia i pięć, rzadko jest w kłopocie jak ma czas przepędzić; z radością więc spędziłem dwa dni w przyjemném uczuciu, jakie tylko nadzieja odbycia morskiej podróży w sercu wesołém sprawić może. Drugiego dnia w nocy przekonawszy się, że wiatr ciągle naszemu odpłynieniu nie sprzyja, udałem się na spoczynek; aż oto mocne stukanie do drzwi przebudziło mnie ze snu smacznego. Statek, rzekł do mnie majtek, rozwija żagle, już podnoszą kotwicę. Kapitan Burker kazał powiedzieć, abyś pan się niezwłocznie na pokład stawił.

Na te słowa wyskoczyłem z łóżka i czém prędzéj się ubrałem. Przy brzegu zastałem łódź na pogotowiu, i za chwil kilka już byłem na pokładzie statku. Kapitan był tak mocno wydawaniem rozkazów zajęty, iż się mi zdawało, jakby nie postrzegł przybycia mego. Jednakże przerwałem mu na chwilę to zatrudnienie, i zapytałem: dla czego tak niespodzianie odbijamy od lądu?

»To nie do wpana lecz do mnie należy«, odrzekł opryskliwie; »sądzę, iż wpana miejsce jest w kajucie.«

Pomimo surową tę odpowiedź, nie poszedłem jednak do kajuty, lecz pozostałem na pokładzie, aż pokądeśmy odbiwszy od portu, na szérokie morze nie wypłynęli; z tém wszystkiém osada okrętowa nie mało zażyła pracy, zanimeśmy na wysokość morza wydostać się mogli, albowiem nieprzerwanie dął wiatr przeciwny.

Nadaremnie usiłowałem odgadnąć przyczynę tego nagłego podczas tak nieprzyjaznych okoliczności odbicia od lądu. Mając już dowód uprzejmości kapitana, uznałem za rzecz bezowocną zapytać go po raz drugi w téj mierze. Układłem się więc spać powtórnie, i nie wstałem już z mojéj wiszącej kolébki, aż pokąd mi znać nie dano, że już śniadanie zastawiono.

Wszedłszy do jadalni, zdziwiłem się bardzo, a zarazem i ucieszyłem, żem w niéj zastał nader piękną, młodą damę i starego jegomości, który się jéj ojcem być zdawał. Nic mi o tém nie powiedziano, że prócz mnie są jeszcze inni podróżni na okręcie. Prosiłem, aby mnie im jako towarzysza podróży przedstawiono, i postrzegłem wkrótce, iż obecność ich wynagrodzi mi dostatecznie odrażający charakter kapitana. Pan Monti był uprzejmym i rozmownym człowiekiem, posiadał głębokie i rozmaite wiadomości. Córka

jego *miss* Harriet Monti, z rodzaju Kreolek, była w prawdziwém znaczeniu słowa piękną. W miłych, błękitnych jéj oczach oznajmiał się wyraz dobroci, rozumu i wesołego dowcipu. Ojciec kochał ją namiętnie. »Nie ma ona, tylko mnie jednego na świecie«, mówił nieraz do mnie, »a ja tylko dla niéj żyję.« Wszelako zdawało się, iż łagodność jéj nie sprawiała na kapitanie Burker najmniejszego wrażenia; charakter jego był za surowy, aby ta powabna istota ująć go mogła. W obcowaniu z nami był on zawsze zimny, milczący, i bardzo rzadko dzielił nasze rozmowy.

Już sama powierzchowność kapitana Burkera miała w sobie coś odrażającego. Wzrok jego był niemiły i zyzem patrzący; twarz ogorzała od skwaru słońca, była śniadą krustą pokryta; na głowie wił się czarny włos kędzierzawy, a obejście się i czyny jego zgadzały się zupełnie z jego twarzą, na któréj złość i chytrość były dokładnie uznamionowane.

Jednakże rzecz osobliwsza! człowiek ten z ludźmi okrętowéj osady żył za poufale, co pomiędzy naczelnikiem a podległymi na okręcie, bynajmniéj nie jest zwyczajem; przeciwnie zaś Murzyn usługujący w kajucie, był codziennie celem jego nieludzkiego z nim się obejścia. Zdawało się, iż kapitan czuł jakąś rozkosz w zadawaniu cierpień temu nieszczęśliwemu. Salomon, tak się zwał Murzyn, przerażał częstokroć cały okręt swémi jękami, a pan jego, jak gdyby dla nasycenia okrucieństwa swego, za ten krzyk jeszcze bardziéj smagał nieszczęśliwego. Nieraz zdarzyło się, żeśmy go całkiem krwią zbroczonego z rąk tego okrutnika wydarli; tym sposobem biédny Salomon przyzwyczaił się uważać nas za swych wybawców. Nie jedną małą przysługą starał się nam okazać swą wdzięczność, a przed okrętowym kucharzem, swoim dawnym przyjacielem i powiernikiem oświadczył, że *miss* Harriet jest aniołem, i byłby nawet szczęśliwym, gdyby jéj na klęczkach mógł służyć.

Cały nasz statek miał coś osobliwszego tajemniczego w sobie. Ładunek jego zdawał się być znacznym i kosztownym; dowcipni majtkowie często sobie żarty z tego stroili, ale nie rozumiałem, co te żarty oznaczać miały. Prawie każdéj nocy miewał kapitan długie rozmowy z porucznikiem, który w dowodzeniu okrętem często go zastępował. Kilkakrotnie zeszedłem ich niespodzianie na zagłębianiu się w morskich mapach, które z naszą żeglugą żadnego związku nie miały; wtedy obadwaj gdy mnie postrzegli, zdawali się być pomieszanymi. Pomieszanie to dziwiło mnie, i wzbudzało we mnie jakąś obawę, jakieś smutne przeczucie nieszczęścia, chociaż do takiej obawy właściwie żadnego powodu nie było.

Nie najlepsze miano o nas na okręcie staranie. Stół nasz nie był nigdy dostatecznie zaopatrzony, a nakoniec przyszło do tego, żeśmy w téj mierze przed kapitanem użalić się musieli. Ale ten jak zwykle niegrzeczny, nie chciał słuchać naszych przedstawień i z niczém nas odprawił. Tym sposobem nic innego nam nie pozostało, jak tylko zgromadzić spólnie wszystkie nasze zasoby, w któreśmy się przy wybiéraniu w podróż zaopatrzyli. Julija, służąca panny Harriet, otrzymała rozkaz gotowania dla nas jedzenia. Gdy kapitan Burkier dowiedział się o tém, rozgniewał się bardzo i zaczął przebąkiwać o jakichsić groźbach, którycheśmy nie rozumieli. Od tego czasu zerwał z nami wszelką zażyłość; małe nasze grono uwolnione od jego obecności, tém bardziéj się do siebie zbliżyło.

W piérwszy tydzień żeglugi naszéj, sprzyjała nam bardzo piękna pogoda. Prawie każdy wieczór spędzaliśmy na pogadance pod rozpiętym namiotem. Jednego wieczora, gdyśmy podczas blasku księżyca siedzieli na pokładzie, rzekła panna Monti: »Gdyby też morze było zawsze tak spokojne, a niebo zawsze tak pogodne, sądzę, iżbym wolała żyć na morzu, niż w jakimkolwiek kraju. Nieprawdaż ojcze, że nawet najlękliwsza dziéwczyna nabrałaby odwagi, gdyby ciągle tak przyjemny miała widok, jakiego my w téj chwili używamy.«

»Co do mnie, kochana Harrieto«, odrzekł ojciec, »nie bardzoby mi podobało się życie żeglarza. Ja lubię rozrywkę i odmianę nawet w zatrudnieniach, a możeż być co bardziéj jednostajném, jak życie okrętowe?«

»Ale czyliż odmiana koniecznie do naszego szczęścia potrzebna? Nie śmiéj się ojcze

z nierozsądku mojego, lecz gdybym była właścicielką wielkiego okrętu, i była pewną ciągle pogodnego nieba i spokojnego morza; zebrałabym w około siebie wszystkich najszczérszych mych przyjaciół, i popłynęłabym z nimi w najodleglejszą przestrzeń morza. Podzielalibyśmy nasze chwile według upodobania; żaden zachmurzony kapitan nie przerywałby rozrywek naszych, żaden cierpiący człowiek nie raziłby nas swym widokiem, żaden bolesny jęk nie obiłby się o nasze ucho! Spokojnie żylibyśmy w najprzyjemniejszém towarzystwie, któreby tylko jedna śmierć rozłączyć mogła. A ja sądzę, iżby tylko na morzu tak piękne marzenie urzeczywiścić się mogło.«

»Prawdę mówisz Harrieto, gdyby tylko morze miało takie miejsce, któreby przeciw burzom zabezpieczone było; mało znaczy, gdy się ludzie rozłączą i rozejdą na ziemi, ale ci, których na morzu los rozdzieli, nie zawsze na tym świecie się znajdą!«

Téjże saméj chwili postrzegłem Salomona, który zbliżywszy się do mnie ukradkiem, i zalecając mi przezorność, palec na swych grubych ustach położył. Przystąpiwszy do niego rzekłem: »Cóż tam słychać mój Salomonie, może masz mi co ważnego powiedzieć?«

»Tak jest, mam panu powiedzieć rzecz bardzo ważną! prawdziwie, rzecz, która najważniejsze skutki za sobą pociągnąć może! Ale...«, to rzekłszy zamilkł, i z niewymowną lękliwością spojrzał na około siebie.

»Nie obawiaj się przyjacielu, kapitan Burker spi jak zabity na swojéj macie, a majtkowie będący na straży, nie słyszą nas w tém miejscu.«

»Jeżeli tak, więc powiém. Ponieważ *massa* (pan) Jones i *massa* Monti byliście zawsze łaskawymi na biédnego Murzyna, chciałbym więc teraz wyświadczyć wam przysługę. — Zostajecie wszyscy w wielkiém niebezpieczeństwie!... Kapitan postanowił ten okręt zatopić.«

»Jako? Co ty mówisz Salomonie?«

»Ach *massa,* chciéj mnie posłuchać, objawię ci całą tajemnicę! Wczorajszéj nocy podsłuchałem kapitana Burkera rozmowy z porucznikiem. Słyszałem wszystko jak najdokładniéj... Jestto plan piekielny, przez złych duchów wymyślony; mają w planie dno okrętu przewiercić. Szoner ten jest zabezpieczony wielką kwotą, a nie ma w swym pokładzie najmniejszego ładunku. Paki, skrzynie i kufry napełnione są piaskiem i kamieniami. Cała osada okrętowa wciągnięta jest do tego spisku. Na mieliźnie Bahamy....«

»A ty co tam robisz, przeklęty Murzynie? Dla czego nie bierzesz się do roboty próżniaku?«

Salomon, skoro głos ten posłyszał, który mu bardzo dobrze był znany, wymknął się tak spieszno z naszéj kajuty, jak gdyby go nie było. Jednakże umykając nie mógł uniknąć kapitana, który tak mocno kopnął go nogą, że go na pokład powalił. Z trudnością dźwignął się biédny Murzyn; a z miejsca, w które go Burker uderzył, krew się lać zaczęła strumieniem. Poczém kapitan udał się znowu do swéj kajuty, a na okręcie głęboka cisza osiadła.

Ale ja zaledwo do siebie z zadziwienia przyjść mogłem. Rzecz, o któréj właśnie się dowiedziałem, wyjaśniła mi okropnie wszystko, co dla mnie dotychczas tajemnicą być się zdawało; całe zachowanie się kapitana, przymówki i żarty jego majtków, które nieraz słyszéć musiałem, nagłe nasze odpłynienie pomimo nieprzyjaźnego wiatru, wszystko to nie było już dla mnie żadną zagadką. Zacząłem dokładnie zastanawiać się nad naszém położeniem i przemyśliwałem nad sposobami zniweczenia zgubnego planu kapitana. Skoro *miss* Monti udała się do swéj kajuty, natychmiast oznajmiłem jéj ojcu niebezpieczeństwo, jakie nam zagrażało. Naradzając się dość długo nad sposobami, postanowiliśmy nakoniec czekać spokojnie, aż pokąd kapitan swego planu wykonywać nie zacznie, a potém mieliśmy korzystać z wszelkich okoliczności, jakie tylko w naszéj mocy zostawać będą.

Jakże się wszystko nagle w około nas zmieniło! Owa dotychczas tak spokojna żegluga, owe pogodne niebo, owe ciche morze, okazały się nam teraz niebezpieczne i pełne zgubnych przepaści. Na miejsce bezpieczeństwa, niespokojność w nasze serce wstąpiła, która ani na chwilę spoczynku nam nie dała. Bez ustanku zajmowaliśmy się

tą myślą, co tu począć, jak sobie zaradzić, gdy ostateczna chwila nadejdzie. Z trwogą zapytywaliśmy jeden drugiego, ażali jeszcze daleko jesteśmy od mielizny Bahamy, o któréj mi Murzyn nadmienił?

W takim stanie niepewności, w którym umysł dla uniewinnienia braku odwagi i mężnego postanowienia zwykle w siebie wmawia, że jeszcze chwila działania nie nadeszła, upływały tak mnie jak panu Montemu wszystkie godziny. Jedyném naszém staraniem było ukrywać przed piękną naszą towarzyszką niebezpieczeństwo, które z każdą ubiegającą chwilą, coraz bardziéj nam zagrażało, i nie dać ani mową ani uczynkiem najmniejszego pozoru, z któregoby albo kapitan albo jego ludzie domyśléć się mogli, że o jego przedsięwzięciu zawiadomieni jesteśmy.

Tym sposobem całe trzy dni ubiegło. Czwartego dnia pod wieczór, siedzieliśmy wszyscy troje jak zwykle na pokładzie. Zaczął dać wiatr pomyślny. Okręt nasz pruł fale z taką nadzwyczajną szparkością, iż *miss* Monti postrzegłszy to, zapytała pocichu swego ojca, ażali to jest zwyczajem, by okręty także pod noc rozpinały wszystkie swe żagle. Zaledwo że to wyrzekła, natychmiast pojawił się na pokładzie kapitan, który wziąwszy sondę, kilkakrotnie rzucał ją w morze, nie rzekłszy przytém do nas aby jednego słowa, jak głęboka jest woda, na którejśmy płynęli. Pomiędzy osadą okrętową panowało złowieszcze, nieszczęściem zagrażające milczenie. Wszyscy majtkowie zgromadziwszy się na pokład statku, pogladali na kapitana wzrokiem pełnym znaczenia. *Miss* Monti niewiedząc sama dla czego, zbladła, usta jéj drżéć zaczęły; ujęła za rękę swego ojca, i w twarzy jego starała się wyczytać smutne potwierdzenie okropnego swego przeczucia; ale ten, dla ukrycia przed nią niespokojności, która serce jego dręczyła, twarz swą od niéj odwrócił. Salomon, z którym od czasu jak mi tajemnicę tę odkrył, już więcéj mówić nie mógłem, przylągł na pokładzie w tylnym kącie okrętu. Na całéj twarzy jego malowała się największa trwoga, zdawało się, iż duże, czarne oczy jego głębokość morza zmierzyć usiłują. Po trzykroć zapędzał się do nas, jak gdyby z którym z nas pomówić pragnął, i każdą razą cofał się wstecz, i znowu na swém miejscu przylegał.

Nakoniec zeszedł księżyc i rozlał najpiękniejsze światło w około. Od czasu do czasu tylko zasłaniały go przed naszémi oczyma chmury, a wtedy cała powierzchnia morza pokrywała się grubą i ciemną szatą. Wiatr był niestały równie jak i blask księżyca, raz dał gwałtownie, raz znowu słabnął i ucichał, a żagle raz były wzdęte mocno, raz znowu za omdlałym wiatrem w pozdłuż rejów na dół spadały. Przez czas niejaki mknęliśmy po gładkim krysztale morza, poźniéj zaczęły huczéć fale i uderzały w czoło okrętu, lecz nie minęła chwila, a już morze znowu się uspokoiło.

Wtém nagle przeraźliwym głosem krzyknął Murzyn: »mielizna, mielizna! już widzę skopuły! nie minie chwil kilka, a już o nie uderzymy!«

»Czego wrzeszczysz szatanie!« wrzasnął kapitan i rzucił się na Murzyna, jak lew rozsrożony, »jeżeli jeszcze tylko jedno słowo rzekniesz, uduszę cię poczwaro!«

»Kapitanie Burker«, rzekł pan Monti zbliżywszy się do niego, »żądam od ciebie, abyś natychmiast okręt w inną stronę skiérował. Wiémy o twoich zamiarach, jesteś podłym w myoczach.«

»Majtkowie!« ozwałem się także i ja z méj strony, »nie słuchajcie więcéj tego człowieka, on zamyśla okręt zatopić, by zagarnął do swéj kieszeni kwotę, którą ten okręt zabezpieczono.«

»Nieprawda!« odrzekł Burker. »Wy jesteście wierutni kłamcy i buntownicy. Daléj do mnie, towarzysze, pomnijcie, żem waszym kapitanem. Mogęż się na was spuścić?«

I owszem, na nas wszystkich! hurra! niech żyje kapitan!«

W téj chwili zamieszania statek mocném uderzeniem wstrząśniony, stanął na miejscu. Na ten dowód zdrady wszyscy zamilkli i pobledli na twarzy. Po niejakiéj chwili uroczystego milczenia podniósł się, i znowu uderzył powtórnie z strasznym trzaskiem o skałę, poczém znowu stanął na miejscu. Rozpięto wszystkie żagle; dla ulżenia okrętowi rzucono wszystek ładunek w morze, ale nadaremnie, okręt już się z miejsca nie ruszył.

Na ten widok jakiś szatański uśmiéch przemknął się po twarzy kapitana.

Położenie nasze było bardzo niepokojące. Nigdzie nie można było dostrzédz wybrzeża, na około otaczały nas odludne morskie skały i mielizny, któreśmy z daleka po białawéj barwie rozeznawali.

Zaszedł nakoniec księżyc, i coraz większa ciemność zaczęła nas otaczać. Wtedy znowu zerwał się wiatr gwałtowny, wzdęło się morze, wściekłe bałwany udérzały całą mocą w czoło naszego statku; nie trudno było przewidzieć, iż niezadługo w kawałki się roztrzaska. Kapitan rozkazał spuścić w morze szalupę. W chwili, gdy on sam z wszystkimi swymi ludźmi zajmował się tą pracą, przy ulotnym blasku światła postrzegliśmy w niejakiém od nas oddaleniu skałę, która się do małéj wyspy podobną być zdawała. Już była szalupa do odpłynienia gotowa,

aż oto jeszcze raz zatrzeszczał statek straszliwie i téjże saméj chwili rozpękł się na dwie części, a natarczywe fale lunęły w jego wnętrze.

Wszyscy skoczyliśmy w szalupę, wyjąwszy pana Monti, który poruczywszy swą córkę mojéj pieczy, jeszcze raz usiłował dostać się do swéj kajuty, dla ocalenia z niéj niektórych ważnych papiérów. Chwilą późniéj, gdy po szczętach okrętu idąc i lin się trzymając, aż do masztu się przedarł i w szalupę skoczyć zamyślał, porwała go olbrzymia fala i ze sobą poniosła! *Miss* Monti ujrzawszy to, padła jak nieżywa, kapitan przeciął tymczasem linę, która szalupę jeszcze z bokiem statku łączyła, i kazał sterować do małéj wyspy. »Nie myślmy już o ocaleniu tego starca«, rzekł, »szczęściem będzie dla nas, jeżeli sami się ocalimy.«

Majtkowie przyłożyli wszelkich sił do sterowania szalupą, nakoniec dostaliśmy się szczęśliwie do skalistéj wyspy, ale gdyśmy na nią wysiedli, natychmiast rozpękła się skołatana szalupa.

W téj chwili zawsze jeszcze otaczała nas tak gruba ciemność, iż nikt nie ważył się wyjść na rozpoznanie bliższe téj wyspy, na któréj znaleźliśmy schronienie. Nieszczęśliwą *miss* Harriet, będącą ciągle bez przytomności, zaniosłem do jaskini, którą na szczęście znalazłem tuż przy miejscu, gdzieśmy wylądowali. Julija, jéj służąca i ja, długo staraliśmy się nadaremnie przywołać ją do życia. Nakoniec przyszła do siebie, i musiała usłyszeć smutne zapewnienie, że już nié ma ojca! Żałość jéj rozdziérała serce moje. Zabrakło nawet słów na ukojenia jéj żałości.

Nie minęła godzina, aż oto biédny Murzyn przybiégł z radością i oznajmił mi, iż o podal usłyszał głos człowieka o pomoc wołającego, i sądzi, że to nie kto inny, tylko pan Monti. Poskoczyłem natychmiast za nim w kierunku, który mi wskazał, i zaczęliśmy obadwaj wołać co nam sił stało... Niezadługo usłyszałem głos, który mi dobrze był znany. Dzięki niebu, pan Monti był ocalony. Uchwycił się on jednego szczętu z rozbitego statku i zawinął na nim do brzegu. »Teraz jestem«, tak wołał do nas, »oddzielony od was małą, morską odnogą, którą obejść zamyślam.«

Chociaż oddalenie tak było wielkie, żeśmy jeden drugiego zaledwo dosłyszeć mogli, jednakże starałem się go odwieść od tego zamysłu, uważając go za bardzo niebezpieczny w ciemności, która jeszcze ciągle nas okrywała; poczém nakłoniwszy go, aby spokojnie aż do białego dnia na miejscu się zatrzymał, pospieszyłem do jego córki z doniesieniem o szczęśliwém uratowaniu ojca.

Z jakąż niecierpliwością oczekiwaliśmy dnia następnego. Nakoniec nadszedł, a śród brzasku postrzegliśmy pana Monti na drugim brzegu zatoki, która niemal pięć set stóp miała w obwodzie. Harrieta wyciągnęła ręce ku swemu ojcu. Pan Monti wołał do nas, ale wiatr obróciwszy się rozwiéwał jego słowa; tym sposobem widzieliśmy tylko, jak spieszył obejść zatokę, a z naszéj strony pobiegł Salomon naprzeciw niemu.

Nie minęło pół godziny, a już wrócił Murzyn sam jeden z smutną twarzą. »Ach, zawiedliśmy się w naszéj nadziei«, zawołał: »nie jestto zatoka, ale kanał między dwiema wyspami.

Niespodziana wiadomość ta nabawiła nas powtórnie największą niespokojnością. Ani ja ani pan Monti nie umieliśmy pływać, a szalupa była tak rozpęknięta i uszkodzoną, iż niepodobna było puścić się nią powtórnie na morze. Każdy z obecnych okazywał gotowość swą dopomagania nam w nieszczęściu. Tylko jeden kapitan nie chciał do tego się przychylić. Gdy go majtkowie pytali, ażali nié ma jakiego sposobu do dania mu pomocy, odrzekł, że nié ma, i że ten jegomość niech sam dla siebie szuka sposobu przeprawienia się przez ten kanał.

(Dokończenie nastąpi.)

DONIESIENIE LITERACKIE.

W miesiącu sierpniu roku zeszłego, ogłosiłem prospekt na dzieło fizyczne w sześciu tomach wyjść mające, a tymczasem oznaczyłem przedpłatę na tom piérwszy, który jest częścią obrazu fizyki istniejącéj. Gdy jednak ozwały się głosy z zagranicy osób gorliwych o dobro pospolite, żądające, ażebym od razu kompletnie obraz fizyki istniejącéj wydał; posłuszny temu głosowi, oraz głosowi sumienia, że trzeba wszystkie siły poświęcać dla dobra społeczności, wykończyłem dzieło całkowite, które acz jest tylko częścią mego planu ogólnego, który dałem poznać, przecież może się nazwać kompletném w swoim rodzaju, kiedy całkowity obraz stanu aktualnego fizyki zawiéra.—Przychylne chęci szanownych osób, dających mi otuchę wsparcia w moim zamiarze, ozwały się szczególniéj z gubernii wileńskiéj, kijowskiéj, podolskiéj, wołyńskiéj, niemniéj z Galicyi, Księztwa Poznańskiego i Lipska.—Tak więc Bóg wszechmogący, który mi udzielił sił, natchnął oraz innych, ażeby te siły skutecznémi być mogły. W takim stanie rzeczy, ogłaszam prospekt na dzieło we dwóch tomach wyjść mające razem, z których piérwszy zawiérać będzie *Mechanikę, Cieplik;* drugi *naukę o Świetle, Elektryczności, Magnetyzmie i Elektro-Magnetyzmie.* Mechanikę starałem się treściwie i krótko przedstawić, zastosowując prawdy z niéj

do pożytku sztuk i rzemiosł. — W nauce o Cieplíku rozciągnąłem się nierównie więcéj, przyjmując układ z Palieta, a trzymając się ścisłości w doświadczeniach Gaj-Lusaka. O parach i machinach parowych, rzecz traktowałem najrozciąglej. Tablice liczbowe, w które nasze fizyki dosyć obfitują, opuszczałem, przywodząc je o tyle tylko, o ile mi potrzebne były do wyciągnienia jakiego ważnego stosunku. W nauce o Świetle, trzymałem się systematu Newtona, zostawiając szczegół systematu Dekarta do ścisłéj krytyki, co jednak ma być przedmiotem osobnego dzieła. Prawo refrakcyi przypisywane *positive* Dekartowi, dowiodłem wspiérając się pismami Delambra, iż ono rzeczywiście należy się naszemu Witelionowi. O Achromatyzmie, wspiérałem cię pracami wielkiego naszego fizyjologa świętéj pamięci Jana Milego. O elektryczności rzecz traktowałem najrozciąglej — o magnetyzmie tylko w ustępach przy nauce elektryczności. — W elektryczności uważałem głównie Stos Wolty, a w magnetyzmie igłę magnesową; z połączenia tych dwóch narzędzi i ścisłéj uwagi ich działań, powstał elektro-magnetyzm stanowiący dzisiejszą nową fizykę. — Naukę o elektryczności podzieliłem na trzy okresy — piérwszy, od początku do wynalezienia machiny elektrycznéj — drugi, do Stosu Wolty — trzeci, do Ampera, który jest razem okresem naszego czasu. — Rzecz przebiegłem historycznie, przywodząc ciekawe wypadki, prowadzące do odkryć i wynalazków. Wspomniałem też o zasłużonych osobach chronologicznie. Zgoła, starałem się nie tak dawać relacyję o nauce, jako raczéj wzrost jéj powolny w całym korpusie przedstawić. W traktacie fizyki nowéj o elektro-magnetyzmie, najpłodniejszym w zadziwiające fakta, gdzie jeszcze nié masz drogi przetartéj należycie, musiałem ją sobie sam powiększéj części torować. — Prace wielkiego Ampera, Arrago, Bequerela, Faradaja, Sawarego, De la Rivow, Stużona, Sebeka, zachwycały szczególniéj duszę moję. Dzieło Bequerela: *Biblioth. Univers. Annal de Chim*, dostarczały mi nieprzebranych materyjałów. — Nareszcie rzecz zakończę zastósowaniem elektro-magnetyzmu do Nawigacyi, do Telegrafu. Ostatnią materyję przebiegnę historycznie, wymieniając usiłowania Salwy z roku 1791 w Hiszpanii, prace już daleko posunięte Sömeringa z r. 1812 w Mnichowie, nareszcie Steincheila, dodając uwagi tyczące się poprawek. Zamknę zaś wszystko wiadomością o Daguerrotypie. Wydanie nie będzie zbytkowne, ale postaci szlachetnéj. Figury będą na kartach śród druku.

Kosztować będzie złp. 25 dwa tomy kompletne fizyki istniejącéj, którą starałem się wystawić tak, na jakim stopniu u narodów oświeconych stoi. Odwołuję się do serc miłośników téj pięknéj i do najszlachetniejszych uczuć podnoszącéj nauki, i mam nadzieję niezachwianą, iż mnie w moich usiłowaniach wesprzéć raczą. — Unikając zaś zwyczajnego trybu zbiérania przedpłaty na dziełka powszednie, dla zabawy tylko społeczności poświęcone, który dziś bardzo małą ufność wzbudza, i dla tego, prawie jakby dawna pamiątka tylko się powtarza; pokładam raczéj nadzieję w sercach poczciwych, gorliwie dobro pospolite miłujących osób, iż sposobem pomiędzy sobą przyjacielskim, chęci moje łaskawie wesprzéć raczą. Nie odzywam się tu w imię przyjaźni mojéj, ale w imię miłości nauk i dobra pospolitego.

Za główny punkt korrespondencyi, naznaczam Szczebrzeszyn w gubernii lubelskiéj pod Zamościem. *Józef Żochowski.* — *r. 1840.*

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 19. i obejmuje: 1) O uprawie marzanny czyli krapu (Dokończenie). 2) O siejbie lucerny między konopie. 3) Sposób p. Vitzthum postępowania z pszczołami. 4) Skutki węgla roślinnego na roślinność. 5) Sposób produkowania dobrych pieczarek. 6) Kmin prosty (*Carum carvi*) jako roślina pastewna. 7) Jakie nadal są widoki dla cukrowni europejskich. 8) Środek przeciw piegom. 9) Wiadomości czasowe.

Nowiny literackie z Wilna. (Z listu pisanego pod dniem 15go kwietnia r. b.) Z drukarni Teofila Glücksberga wyjdą tegoż nakładem do przyszłorocznych kontraktów kijowskich (które na maj odłożone być mają) następujące dzieła: 1) *Wołyń i Podole* przez Aleksandra hrabię Przezdzieckiego (autora *Wspomnień o Szwecyi.*) 2) Tegoż *Próby dramatyczne polskie*, zawiérające w sobie: *Halszka z Ostroga*, dramat historyczny w 5 aktach (przedmiot już dramatycznie pr. J. J. Kraszewskiego obrobiony) i *Kapitalik*, komedyja we 2 aktach, ułożona ze znanéj powiastki Jadama z Zatora, tegoż nazwiska. 3) Tom drugi *Dzieł Szekspira*, przekładu Kefalińskiego (ks. Hołowińskiego, profesora przy Uniwersytecie St. Włodzimiérza w Kijowie) mający zawiérać: *Makbeta*, *Króla Leara* i *Burzę*. Szekspir nad wszelkie spodziéwanie dobrem u nas powodzeniem się cieszy, liczy bowiem kilkaset przedpłacicieli (co robi wielki zaszczyt Litwinom.) Jestto wyborny przekład. 4) *Historyja literatury różnych narodów* przez Henryka hrabię Rzewuskiego, tomów dwa. 5) *Pisma przedślubne i przed-splinowe (Johnes of Dycolp)* tomów dwa. (Wyborne to dziełko pióra ks. Jankowskiego znawcy tutejsi chwalą.) 6) *Pielgrzymka do Ziemi świętéj*, którą odbył ks. Hołowiński przy końcu zeszłego roku; ma wyjść w dwóch tomach z rycinami w przepyszném wydaniu. 7) *Nowe wspomnienia z podróży* J. J. Kraszewskiego, tomów dwa. W druku są: *a*) Tomy 3 i 4 Michała Grabowskiego *Literatury i krytyki*; *b*) Tegoż romansu *Stanica Hulaj-polska* dwa piérwsze tomy; *c*) *Wspomnienia Polesia* J. J. Kraszewskiego, tomów dwa. — *Encyklopedyja powszechna* w tym roku wychodzi w Warszawie u Aug. Emanuela

Glücksberga, pod redakcyją pp. Chlebowicza i Michała Balińskiego, a z kolei dopiero w roku przyszłym wychodzić będzie w Wilnie. Wystąpienie J. E. Odyńca z redakcyi, bynajmniéj liczby kilku-tysięcy prenumeratorów nie zmniejszyło. Teofil Glücksberg wchodzi właśnie w układ z jednym z najcelniejszych tegoczesnych literatów naszych, który ma objąć główną redakcyję tego olbrzymiego przedsiębierstwa.

Z Warszawy. Pan Kazimiérz Władysław Wojcicki, znany zaszczytnie od lat kilkunastu na widowni warszawskiéj ze znamienitego swego talentu, niwę nauk uprawiając w zaciszu, nowym ją wzbogacił plonem i pod skromnym tytułem na wstępie położonym, postanowił wystawić nam ojców, dziadów i pradziadów naszych, takimi, jakimi byli w istocie, to jest, z nieograniczoną wiarą, ze swojémi cnotami domowémi, wadami i przesądami. Jestto obraz przeszłości przed oczy nam przedstawiony pędzlem dobrego malarza i takim, jaki mu jest właściwy. Nie są to same proste opisy jakowychsić szczególnych nagromadzonych wypadków, lecz po większéj części w sposobie dramatycznym z podań ułożone *Gawędy*, które przedstawiają nam osoby działające, mówiące, opowiadające różne swoje przygody, jakich na dworach wielkich panów, po publicznych gościńcach lub domach doświadczali. Słyszysz tam mowę ówczesną pana Cześnika i pani Podstoliny; pana zaś Podczaszyca przysłuchującego się z uszanowaniem starszym od siebie. Widzisz przed oczami przesuwające się matrony w dużych kornetach, rogówkach, azustach, palatynkach, na wysokich korkach, które za cél do strzelania podochoconemu nieraz małżonkowi służyły. Są tam i starożytne zamki, w których duchy znajdować się muszą, a nawet i takie, gdzie portrety antenatów do siebie gadają. Gdzie tylko zabawa, masz pijatykę; gdzie zjazd, szerpentynki błyszczą, i płynie nieochybnie węgrzyn. W porze jesiennéj, masz polowanie; w zapusty, kuligi. Przedmiotem téj gawędy, jest ślepy mazur, tamtéj piskorz łęczycki. Tu słyszysz przesadzone powieści myśliwskie »Panie kochanku«; tam swawolne zabawki Kaniowskiego starosty. Słowem, autor nie przepomniał o niczém, aby nam dać wyobrażenie jasne i dokładne upłynionych wieków sposobem zajmującym, stylem tak prostym i tak naturalnym bez żadnéj przesady, jakim był żywot i język naszych ojców. Dzieło to ze cztérech tomów składać się będzie i wyjdzie nakładem księgarni Sennewalda. (*K. W.*)

Imiona Muzułmanów. Muzułmanie nie mają imion familijnych. Z śmiercią Muzułmana gaśnie także jego nazwisko i z ojca na dzieci nie przechodzi. Dnia siódmego albo ósmego po narodzeniu, otrzymuje dziécię imię, z którém zwykle festyn familijny jest połączony. Przy téj sposobności odmawia ojciec, albo dziad nad nowo-narodzonym modlitwę, i szepnąwszy mu jego imię do ucha, ogłasza je potém wszystkim obecnym. Wszystkie imiona moslenizmu na cztéry główne klasy podzielić można, i prócz tych nié ma innych imion muzułmańskich. Do piérwszéj klasy należą imiona patryjarchów i proroków, podług rozkazu Muhammeda: »Dawajcie dzieciom waszym imiona proroków.« Dlatego téż Turcy najczęściéj nadają dzieciom swoim imiona: Ibrahim (Abraham), Ismail (Izmael), Izzed (Izaak), Jakub (Jakób), Jussuf (Józef), Mussa (Mojżesz), Aissa (Jezus), Harun (Aron), Daud (Dawid), Soliman (Salomon), Muhammed, Hamed, Mahmud (trzy imiona proroka na ziemi, w niebie i w piekle). Za témi idą imiona tych, którzy do rozszérzenia i utwierdzenia Islamizmu wielce się przyczynili, jako to: Osman, Omar, Ali i t. p. W trzeciéj kategoryi objęte są imiona poczynające się od zgłoski *Abd* (sługa), jako to: *Abd-Alla* (sługa Boga), *Abd-el-Kader* (sługa potężnego), *Abd-el-Kerim* (sługa spaniałomyślnego), *Abd-el-Ramar* (sługa litościwego), i t. d., po większéj części podług dziewięćdziesięciu przymiotów boskich. Czwarta klasa nakoniec zawiéra imiona na zgłoskę *din* (religija) zakończone, jako to: *Salah-ed-din* (Saladyn, odnowiciel wiary), *Meh-ed-din* (następca wiary), *Krair-ed-din* (zbawienie wiary) i t. d. Do tego należą jeszcze niektóre nomenklatury: 1) Pewne imiona złożone, jako to: *Hamed-el-Abd* i t. d. 2) Imiona sam przymiot oznaczające, jako to: *Hassan* (piękny) i téż same imiona zdrobniałe (*Hossejn*, *Hussein*), *Hakem* (możny), *Said* (szczęśliwy), *Reszyd* (sprawiedliwy), *Mustafa* (od Boga wybrany). — Dla zabieżenia nieporozumieniom w wielu jednakobrzmiących imionach, nadają im także niekiedy przydomki, które jednakże nie mają wcale charakteru europejskich imion familijnych: syn bowiem po większéj części otrzymuje inny przydomek, nie ten, który miał jego ojciec. Wszystkie prawie przydomki nieoznaczające jakowéj kwalifikacyi, jako to: *El-Kebir* (wielki), *El-Bekik* (chudy), *El-Auwer* (jednooki), poczynają się zgłoską *Ben* albo *Ibn* (syn), po któréj potém imię ojca, albo *Bu* (skrócenie z *Abu*, ojciec) następuje. Ojciec porzuca niekiedy przydomek, który piérwéj nosił, a przydomek syna albo córki przybiéra, jako to: *Abu-Taleb* (ojciec Taleba), *Abu-Bekr* (ojciec dziewicy — tak zwał się teść Muhammeda, gdy mu córkę swą dał za żonę). Podobnież i matki idą za tym przykładem i mianują się wtedy *Om-Kaltum* (matka Kaltumy), *Om-Habiba* (matka Habiby) i t. d. Imiona niewiast w ogólności wzięte są od przymiotów, jako to: *Saida* (szczęśliwa), *Sethira* (płodna), *Lobna* (biała), *Derifa* (przyjemna), *Dżemila* (piękna), *Lulu* (perła), *Sara* (kwiat) i t. d.

Znaczenie nazwiska Gibraltar. Dla położenia końca krwawéj władzy Gotów zachodnich roku 710 po narodzeniu Chrystusa, przywołał hrabia Julijan z przeciwnego wybrzeża Afryki do Hiszpanii Arabów. Ci pod dowództwem Taryka zawinęli najprzód pod skałę, która od niego nazwę *Gebel al Tatryk* otrzymała. Nazwa ta zamieniła się później w wyraz *Gibraltar*, a więc z Gibraltarem łączy się historyczna pamiątka rozpoczętéj władzy maurytańskiéj w Hiszpanii.

Źwiérz olbrzymi. W Stanach Zjednoczonych w St. Louis wykopano niedawno po raz piérwszy jednego z olbrzymich źwiérząt przedpotopowego świata, *Mastodon giganteum*, całkowitą zupełnie czaszkę, którą teraz w muzeum nadmienionego miasta na widok publiczny wystawiono. Jak wielką jest ta czaszka wnieść można z tego, iż takowa zająćby mogła dość dokładnie cały o jednem oknie pokój naszych zwyczajnych domów, a źwiérz ten, podług domniemanéj jego wielkości, podobnoby w najwyższych naszych kościołach się nie zmieścił. Kły jego tkwią w czaszce horyzontalnie, a końce ich są na bok wygięte. Każdy z nich od zagięcia mierzony, ma dziesięć stóp długości, a odległość jednego od drugiego w prostéj linii dwadzieścia i jednę stopę wynosi. Nie można sobie wcale dokładnie wyobrazić, na jakich niwach te zupełnie podług innego rozmiaru zbudowane potwory się pasły. Dla nadania odpowiedniéj stosunkowości owoczesnemu światu, przymuszeni jesteśmy wyobrazić sobie inne rozmiary gór, rzék, drzew, traw i tym podobnych przedmiotów, które przed potopem istniały. Zresztą zdaje się, iż ów olbrzymi przedpotopowy źwiérz na całéj owoczesnéj przestrzeni ziemskiéj mieszkał.

Ojciec Mathew bawi obecnie w Dublinie, gdzie dnia 30go p. m. 4077 a dnia 1go b. m. 8500 osób do zupełnéj wstrzemięźliwości od spirytusowych napojów zobowiązał. Używanie herbaty zamiast napojów

zakazanych, wzmogło się teraz w Irlandyi do tego stopnia, iż kilka londyńskich domów handlowych zamówieniom zaledwo nastarczyć mogą. Zresztą dzienniki torysowskie w usiłowaniach duchowieństwa katolickiego, nie samo przyczynienie się do polepszenia zdrowia i moralności krajowców swoich, ale także inny cel upatrują, to jest, są one tego zdania, iż takowe mają zamiar przez natarcie na podatki nałożone na napoje spirytusowe, nabawić rząd angielski kłopotem, a tém samém wskazują dawniejszy podobny bieg rzeczy, który ostatnią rewolucyję w Irlandyi poprzedził.

Zając podwójny. Dziennik *Narrateur de la Meuse* donosi o następującym wypadku, który z początku zdawał się mu być niepodobnym do prawdy, ale późniéj przez wiary godnych świadków stwierdzonym został. Dnia 12go lutego b. r. dwóch strzelców będących niedaleko Pierrefitte (w departamencie Mozy) na polowaniu, spostrzegło zająca, który drugiego na swoim grzbiecie dźwigał. Jeden z myśliwców strzelił i ubił bieżącego, aż oto zając, który był dźwigany, zmienia swą rolę i unosi z sobą swojego rannego towarzysza, lecz od strzału podobnież ubitym zostaje. Jakże się nie zdziwili myśliwi, znalazłszy, iż obadwaj zające grzbietem do siebie zrośnięte były. Dziennik: *Echo du Monde Savant* z dnia 18go marca robi w téj mierze uwagę, iż *Journal des Savants* z r. 1677, tudzież niejaki pan Sigaud de Lafond w dziele swojém: *Merveilles de la Nature* kilka zjawisk tego rodzaju przytaczają.

Muszlin niewidoczny. Gazeta wychodząca w Bombaju utyskuje, że rękodzielnie w Indyjach upadają, a w Europie się podnoszą, i na dowód tego między innémi przytacza wypadek następujący: Jeszcze przed dwudziestą pięcią laty wyrabiano w Bengalii dla seraju pewien rodzaj niewidocznego muszlinu, który *Abrowan* się nazywał. Sztuczka tego muszlina kosztująca 400 rupiów, czyli 500 funtów szterlingów (niemal 5000 złr. mon. konw.), była tak nadzwyczajnie lekką i z tak cienkiego włókna tkana, iż gdy ją rozpostarto na wilgotnéj murawie, wtedy ludzkiém okiem dostrzedz jéj nie było można. Pewien Nabob kazał przed niedawnym czasem służącemu seraju odebrać życie za to, iż sztuczkę takowego muszlinu pozostawił na trawie, którą krowa razem z muszlinem spasła. Opowiadają także, iż Sułtan Aureng-Zeb omal iż córki swéj na spalenie za to nie skazał, że jéj ręce, twarz i ramiona równie jak i kolor jéj płci podczas publicznego festynu pomimo muszlinowéj osłony, tak mocno uderzyły w oczy wszystkich obecnych, że ojciec jéj sądził, iż ona zwyczajem Angielek bez wszelkiéj osłony publicznie wystąpiła. Jednak córka wkrótce się usprawiedliwiła, przekonawszy ojca, iż siedmioraką na siebie z Abrowanu zasłonę zarzuciła.

Pierwsza miłość Bonapartego. Bonaparte będąc porucznikiem zabrał znajomość z niejakim panem Tardiva, a w domu jego poznał pannę Gregoire du Colombier, do któréj powziął przywiązanie. Familija dziewczyny mieszkała w małéj majętności. Młody porucznik uzyskał wstęp do tego domu i nie zaniedbał doń uczęszczać. Tymczasem przyjechał pewien szlachcic de Bressieur, który podobnież starał się o rękę dziewczyny. Bonaparte postrzegł, iż w téj chwili wypadało mu uczynić krok stanowczy, napisał przeto do kochanki długi list, w którym wynurzył swe uczucia z prośbą, aby o tém swych rodziców zawiadomiła. Rodzice dziewczyny niedługo się wahali w wyborze pomiędzy porucznikiem niemającym żadnych widoków a majętnym szlachcicem, i dla tego ostatniemu córkę przyrzekli. List zaś Bonapartego oddali trzeciéj osobie, która mu go doręczyć miała. Lecz Bonaparte nie przyjął listu, tylko rzekł do oddawcy: »Zatrzymaj go wpan przy sobie, będzie on kiedyś poświadczeniem mojej miłości i rzetelnych moich zamiarów.« Tym sposobem familii Colombier znowu ten list zwrócono, który teraz jak wielka pamiątka jest u niéj zachowany. W kilka miesięcy później panna Gregoire Colombier oddała w samej rzeczy panu Bressieur swoję rękę. W r. 1806 została pani Bressieur honorową damą przy dworze cesarzowéj Józefiny, brat jéj otrzymał prefekturę w Turynie, a małżonka jéj mianowano baronem i dyrektorem lasów państwa; tym sposobem dowiódł Napoleon, że o młodzieńczej swéj miłości nie zapomniał.

Nadzwyczajny stan człowieka. W Anglii małém miasteczku Huddersfield jest pewien człowiek, który spi nieprzerwanie. Żyje on samym snem tylko. Familija jego pozwala go widzieć za pieniądze. Mówią, że spi już od lat trzydziestu i dwóch, nieobudziwszy się ani razu. Spiąc nawet je i pije. Krewni przestraszeni snem jego, chcieli z początku gwałtownémi środkami wyrwać go z tego stanu, ale niepodobna było tego dokazać. Probowano uskutecznić to wodą i ogniem, puszczano mu krew, przez lat kilka używano sposobów homeopatycznych, wszystko nic nie pomogło; on spi i spi nieprzerwanie. Najsławniejsi lekarze utrzymują, że on się nie obudzi, aż w chwili skonania, gdyż życie jego jest jak najściślej ze spaniem złączone. Spiący ten człowiek jest zdrów, puls jego równie jak i oddech regularny. Zresztą to spanie dla familii jego jest korzystne, gdyż od ciekawych znaczny już sobie majątek uzbierała.

Znowu wynalazek. W Amsterdamie niewolno nikomu wieczorem chodzić po ulicy, kto nie ma z sobą oświetlonéj latarni. Z tego powodu tamtejszy kapelusznik Hoope wpadł na myśl robienia przejrzystych kapeluszów męzkich, w których umieszczona i zapalona świeca, kapelusz w latarnię przemienia. To służy dla płci mocniejszéj; zaś dla płci słabszej (pięknéj), zamyśla on swój wynalazek odmienić; to jest chce serca kobiét przejrzystémi uczynić, aby w nich każdy wszystkie ich uczucia wyraźnie mógł czytać. Ten wynalazek godzien nieśmiertelności.

Szczęśliwość podług zdania Konfucyjusza. Błogosławiony jest człowiek nic nie rozumiejący, albowiem nigdy źle zrozumianym nie będzie. — Błogosławiony jest człowiek nic niedający, albowiem nigdy niewdzięczności nie dozna. — Błogosławiony jest mąż adwokata niepotrzebujący, albowiem żadnéj straty nie poniesie. — Błogosławiony jest mąż, który z niedostatku mało jadać musi, albowiem nigdy na niestrawność chorować nie będzie. — Błogosławiony jest człowiek o każdym źle mówiący, albowiem nikt go o stronnictwo nie posądzi.

Przebieg złodziejski. Na giełdzie kupieckiéj w Bordeaux dał się z tém słyszeć pewien kupiec, iż zapomniał złotą tabakierkę, dodając, iż ją zapewne w domu na kominku zostawił. W kilka chwil późniéj nie znajduje także złotego zegarka w swojéj kieszóuce; śpieszy więc czémprędzéj do domu, i dowiaduje się od swojéj żony, iż tabakierkę razem z zegarkiem do giełdy mu posłała. Przyszedł bowiem po nią pewien mężczyzna, a na dowód, że jest od męża przysłany, pokazał jego zegarek złoty. Żona kupca jak jedno tak i drugie mu doręczyła. Tym sposobem kupiec został w dwójnasób okradzionym.

Czynność podług wyrazu słowa. »Każdy początek jest ciężki«, rzekł początkujący złodziéj, i dla tego ukradł najprzód kowadło.

REDAKTOR J. N. KAMIŃSKI. — NAKŁADEM SPADKOBIERCÓW F. KRATTERA. — DRUKIEM P. PILLERA.